

Najważniejsze dla młodego aktora to, by od razu mógł grać

Teatr. KAROLINA CHAPKO opowiada o swej karierze w krakowskich teatrach

– Twoja siostra bliźniaczka, Paulina, jest też znaną aktorką. Jak to się stało, że obie wybrałyście ten sam zawód?

– Aktorstwo chyba samo nas odkryło. (śmiech) Jako małe dziewczynki wystartowałyśmy w konkursie recytatorskim. Po jego zakończeniu zaproponowano nam uczestnictwo w młodzieżowym kółku teatralnym. I dalej już poszło. Zaliczyłyśmy wszystkie możliwe szczeble aktorskiej edukacji, jakie były dostępne w Nowym Sączu – i zdecydowałyśmy się zdać na studia teatralne.

– Bliźniaczki często dążą do tego, aby odróżnić się od siebie i wybierają zupełnie inne drogi życiowe. Dlaczego w Waszym przypadku tak nie było?

– Bo równo rozwijałyśmy swoją pasję. Dla nas tak naturalne było to, że chcemy być aktorkami, iż szukanie na siłę innych kierunków, byłoby tylko buntem dla samego buntu. Dlatego żadna z nas się nad tym nawet nie zastanawiała.

– Ale studiowałyście w innych miastach: Ty w Krakowie, a Paulina we Wrocławiu. Same dokonałyście tego wyboru, czy zdecydowano za Was?

– Niewiele osób zdaje sobie sprawę, jak ogromna selekcja odbywa się co roku na egzaminach wstępnych do szkół teatralnych. W Polsce co roku przystępuje do nich ponad tysiąc osób, a dostaje się około dwadzieścia na rok. Z czego zdecydowaną większość stanowią dziewczyny. Często, by zwiększyć szanse, zdaje się do kilku szkół. Podobnie było w naszym przypadku. I oczywiście nie oczekiwałyśmy, że przy naszym podobieństwie fizycznym dostaniemy się na jeden rok. I tak Paulina pojechała do Wrocławia, a ja do Krakowa. W sumie to jest jednak jedna szkoła, bo uczelnia we Wroc-



FOT. TVN

Karolina Chapko (z lewej) rywalizuje na scenie z siostrą – Pauliną

ławiu jest filią krakowskiej PWST.

– Krakowska szkoła dała Ci trochę inny warsztat aktorski niż wrocławska Paulinie?

– Chyba trochę tak. Dostrzegam to, ponieważ po dyplomie zostałam na uczelni i prowadziłam zajęcia ze studentami. Najpierw miałam asystenturę, potem uczyłam samodzielnie. Te różnice mają jednak bardzo indywidualny charakter i zależą od tego, na jakich trafi się profesorów i jakiego się znajdzie mistrza. Na mnie największy wpływ miała Dorota Segda. Uczyła mnie od pierwszego roku, pisałam u niej pracę magisterską, a teraz zaczynam pracę na doktoratem.

– Po studiach każdy aktor marzy o etacie w teatrze. Tobie to marzenie spełniło się bardzo szybko.

– To prawda. Dostałam etat już na trzecim roku studiów. Zaczęło się od tego, że na drugim roku

zagrałam w „Biesach”, zrealizowanych przez Krzysztofa Jasińskiego w Teatrze STU. To był przepiękny spektakl. Zobaczył mnie w nim Darek Starczewski, który grał i reżyserował w Teatrze Bagatela. Szukał zastępstwa dla Uli Grabowskiej, która nie mogła akurat grać. Zaczęłam więc występować w spektaklu „Hedda Gabler”. Po jakimś czasie dyrektor Bagateli, Jacek Schoen, odwiedził mnie w szkole – i zaproponował etat. Dlatego nawet nie robiłam dyplomu – moimi dyplomami były spektakle w STU i Bagateli.

– Jak wypadła w Twoim przypadku konfrontacja tego marzenia o teatralnym etacie z rzeczywistością?

– Bardzo dobrze. Dlatego, że dużo gram. A wiem z pedagogicznego doświadczenia, że najważniejsze jest dla młodego aktora zaraz po szkole, aby od razu zaczął właśnie dużo grać. Bo na uczelni nie ma takiej możli-

wości, dostaje się zaledwie strzępki ról, trzeba się dzielić z innymi. Cały czas żyje się więc pragnieniem bycia na scenie, żeby ktoś nam zaufał i powierzył odpowiedzialność za rolę. Niestety – często młodzi aktorzy tego nie dostają. Do tego dochodzi presja związana z ogromną konkurencją, co powoduje frustrację. Traci się wtedy pewność siebie. Ja miałam szczęście, że szybko zaczęłam grać – wchodziłam w kilka tytułów w sezonie i to przynosiło mi ogromną satysfakcję. To jest specyfika Teatru Bagatela – bo tam się zawsze dużo gra. Mamy dwie sceny o zupełnie innych profilach. Duża scena ma komediowo-farsowy repertuar, a na Małej przy ulicy Sarego 7 powstają spektakle dramatyczne, w których mamy możliwość eksperymentów i poszukiwań.

– Niedawno pokazałaś się w Teatrze Variete w „Przerazonym na śmierć”. Jak Ci się spodobały występy na najmłodszej scenie Krakowa?

– To było ciekawe spotkanie. Spektakl reżyserował bowiem Anglik – Ron Aldridge. A ja pierwszy raz pracowałam z zagranicznym twórcą. I okazało się, że oni zupełnie inaczej myślały o przedstawieniu. Anglicy bardzo dużą wagę przykładają do warsztatu. Rozmowa o postaci to etap końcowy. My jesteśmy przyzwyczajeni do innego modelu pracy. Zaczyna się od własnej wrażliwości, od tego, co mamy w środku, od zadawania tysięcy pytań. Dopiero potem ważne jest to, czy nas dobrze słychać. Jeśli aktor jest wrażliwy, umie słuchać i ma dobre porozumienie z reżyserem, dojdzie do „prawdy” z każdej strony. Zaufałam więc reżyserowi, nie buntowałam się – i poszłam z nim ramię w ramię. ©©

Rozmawiał Paweł Gzyl